

HENRYK JAROSZYŃSKI

ŻYCIORYS - WSPOMNIENIA



Lublin, 17 września 1989r.

Henryk Jaroszyński
20-047 Lublin
ul. Zuchów 2 m.26

Ż y c i o r y s

© ARCHIWUM WSKŁONIE

Urodziłem się 16 grudnia 1912r. w Podolu pow. Lublin.

Mój Ojciec - Feliks Jaroszyński - będąc młynarzem, ożenił się z Anielą córką Jana Nagnajewicza stosunkowo bogatego gospodarza z Matczyna. Moja Matka otrzymała w spadku młyn wodny w Podolu i kilka hektarów ziemi /łąki, staw i grunty orne/. Praca Rodziców przy wykończeniu wnętrza młyna i prowadzenie gospodarstwa wyczerpywało ich siły. Ojciec zmarł w sile wieku, w czasie pierwszej wojny światowej, pozostawiając siedmioro dzieci.

Najstarsi bracia Stanisław, Aleksander i Józef brali udział w wojnie w 1920 roku. Józef, to uczeń IV klasy Szkoły Handlowej im. Vetterów w Lublinie, który pomimo próśb i błagań Matki aby pozostał w domu, poszedł - a właściwie pobiegł przez pola, jako ochotnik, do stacji Motycz i pojechał w kierunku Warszawy. Warszawę obronili - ale Józef i jego szkolny kolega Antoni Dekundy z Jaroszewic - nie wrócili. "Cud nad Wisłą", to była krwawa, ofiarna i bohaterka walka, przeważnie Młodzieży Polskiej ze szkół średnich, która ocaliła Polskę.

W szkołach upamiętniono poległych uczniów i profesorów wspaniałymi, marmurowymi tablicami. W szkole Vetterów w Lublinie tablicę o wymiarach około 2 x 3/m wmurowano w ścianę korytarza na pierwszym piętrze. Na tej tablicy, w dwóch kolumnach, dużymi, złotymi literami wypisane były imiona i nazwiska bohaterów tej szkoły, którzy oddali swe życie w obronie Ojczyzny. Tablica przetrwała okupację hitlerowską i pierwsze lata władzy ludowej. Zniknęła za kolejnego siódmego dyrektora tej szkoły w Polsce Ludowej..., ale pozostała w pamięci wielu Polaków i krewnych. W 1980 roku poświęciłem sporo czasu na wyjaśnienie tej sprawy. Wieczorem 11 listopada 1981 roku poszliśmy z małżonką Ireną i przedstawicielem Solidarności złożyć kwiaty w miejscu gdzie była tablica. I oto co widzimy...?! W holu, na parterze, po prawej stronie jest nowa, szara, skromna tablica, może /60 x 90/cm z napisem::

POLEGLYM W OBRONIE OJCZYZNY

W BOJACH 1918-1920 R

UCZNIOM OŚMIOKLASOWEJ SZKOŁY HANDLOWEJ ZGROMADZENIA KUPCÓW
IM. VETTERÓW W LUBLINIE

ŚWIETLICKI ADOLF
BAUTONIN DE COURTNEY KAZIMIERZ
JANKOWSKI BARTŁOJMIJ
ŁĄSKIEWICZ STEFAN
ŁAMBACH HIPOLIT
OŚIŃSKI PIOTR

CICHOŃSKI WŁADYSŁAW
JAROSZYŃSKI JÓZEF
DEKUNDY ANTONI
MARCZEWSKI PIOTR KAZIMIERZ
SKORUPSKI SEWERYN

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI

Po złożeniu kwiatów zapytałem stojącego w pobliżu sympatycznego pana skąd się wzięła ta tablica?

- Proszę państwa - ja nic nie wiem - jestem tu tylko woźnym - ja nic nie wiem... Apo ochłonięciu dodał::

- Ja nie wiem - ale w ostatnią noc z soboty na niedzielę słychać było w budynku jakiś stukot, rozmowy, a w poniedziałek zobaczyłem tablicę...

Po ukończeniu w 1932r. Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego w im. Juliusza Słowackiego w Lublinie, uczyłem w szkołach w Urzędowie, Moniakach, Hucie Józefów i ostatnio w szkole nr 21 w Lublinie. Służbę wojskową odbyłem w 1934r. w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty w Tomaszowie Lub., a w 1936r. otrzymałem stopień podporucznika. Dowódcą szkoły był wówczas mjr Roman Grabiński, a po nim mjr Michał Kaseja.

Od 1 września 1939r. tj. drugiego dnia mobilizacji powszechnej, zostałem mianowany dowódcą II plutonu w 1 kompanii kpt. Jaworskiego, w I batalionie majora Kaseji 8 Pułku Piechoty Legionów. Był to batalion zorganizowany bardzo szybko. Rezerwiści przybywający do pułku w wyznaczonym czasie, otrzymywali z magazynów umundurowanie, wyposażenie oraz broń i ostrą amunicję. Wydano nam również po jednej rusznicy przeciwpancernej z zapasową lufą na pluton strzelecki. Polecono mi, na podstawie instrukcji, przypomnieć trzem celowniczym rusznic naszej kompanii obsługiwanie tej broni. Opuszczaliśmy koszary małymi grupami udając się do Konopnicy, miejsca postoju batalionu. Po złożeniu przysięgi, przelatująca wysoko eskadra nieprzyjacielskich bombowców zrzuciła trzy bomby między torem kolejowym a nami, a po kilkudziesięciu sekundach bombardowała fabrykę samolotów Plage-Laśkiewicza i stację kolejową w Lublinie. Były straty w ludziach i sprzęcie.

Po obiedzie, w czasie którego wysłuchaliśmy orędzia Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ignacego Mościckiego, nadanego przez radio, oznajmiającego, że Polska jest w stanie wojny z Niemcami, wzywającego żołnierzy do spokoju i dokładnego celowania w czasie prowadzenia ognia.

2 września po południu I/8 PP Leg. został załadowany na stacji Lublin przez kpt. Witolda Jaworskiego /który na czas przemarszu batalionu powierzył mi dowództwo kompanii/ i o zmierzchu pociąg wyruszył przez Dęblin do Radomia. Po przybyciu na miejsce rano dnia 4 września transport został pospiesznie wycofany na bocznicę kolejową z powodu alarmu przeciwlotniczego.

W krótkim czasie po wycofaniu transportu dworzec kolejowy i wiadukt w Radomiu został obrzucony bombami przez lotnictwo nieprzyjaciela. Na wiadukcie zginęła obsługa karabina maszynowego. Po alarmie pociąg wyruszył do Jastrzębia. Na tej stacji nastąpiło wyładowanie batalionu i po całonocnym ubezpieczonym marszu osiągnął w godzinach rannych południowy skraj Puszczy Świętokrzyskiej w rejonie Samsonowa. Żołnierze byli wyczerpani - zasypiali na stanowiskach, niektórzy oglądali odparzone nogi.

Nasz batalion, oraz I/9 PP Leg. i I/7 PP Leg. zgodnie z rozkazem dowódcy Grupy Operacyjnej, zostały podporządkowane dowódcy 12 DP gen. Paszkiewiczowi, który wyznaczył rejony obrony i poinformował o położeniu własnym

i nieprzyjaciela. W południe dowódca batalionu mjr Kaseja zarządził odprawę i wydał rozkaz organizowania obrony.

Po przełamaniu naszej obrony na styku Armii "Kraków" i "Łódź" w rejonie Częstochowy XV korpus pancerny generała Hotha skierował 2 Dlek. na Kielce-Skarżysko-Szydłowiec i 3 Dlek. na Kielce - Góry Świętokrzyskie, stwarzając zagrożenie dla naszej obrony od południa i niebezpieczeństwo odcięcia dróg dościa do Wisły. Na północ od Kielc walczyła z nacierającym nieprzyjacielem grupa podpułkownika Kowalczewskiego. W luce pomiędzy 12 DP w rejonie Zagnańska i 36 DP w rejonie Końskich mają jak najdłużej powstrzymać nieprzyjaciela trzy pierwsze bataliony 3 DPLeg.

Pierwszy batalion 8 PPLeg. otrzymał zadanie zamknięcia drogi Samsonów-Skarżysko Kamienna obsadzając odcinek leśny na północ od Samsonowa. Na prawo od nas, w odległości kilku kilometrów w miejscowości Luta, organizuje obronę I/9 PPLeg., na lewo w okolicy Zagnańska 93 pułk z 12 Dywizji Piechoty. Duże odległości między batalionami nie dawały możliwości powiązania ogniowego i sprzyjały przenikaniu małych grup pancernych i pojedynczych czołgów w polską obronę.

1 kompania otrzymała do obrony szosę i odcinek na lewo od niej; 2 kompania na prawo od szosy, a 3 w odwodzie. W nocy, w odpowiednim miejscu pod Samsonowem, ustawiono zapory przeciwczołgowe z szyn kolejowych. Żołnierze z trudem okopywali się w kamienistym terenie. Patrole nawiązały łączność i ustaliły miejsca obrony naszych sąsiadów. Po północy, patrol rozpoznawczy z kompanii odwodowej w sile plutonu, zameldował o ruchu samochodów pancernych i motocykli w rejonie Kostomłoty.

O świcie 6 września, wycofujące się z Samsonowa ubezpieczenia ostrzelały z bliskiej odległości patrole motocyklistów i samochody pancerne nieprzyjaciela, z których dwa zostały trafione, reszta cofnęła się. Po chwili rozpoczął się huraganowy ogień artylerii na nasze przedpole. Płonące budynki gospodarstwa zasłaniały dymem odcinek szosy. Nad nami słychać gwizd i szum pocisków armatnich i haubic. Teraz wybuchy za nami w lesie wstrząsają ziemią. Z Samsonowa wyjeżdżają motocykle i czołgi. Niemcy znów atakują. Dowódcy wydają rozkazy otwarcia ognia z moździerzy, rusznic przeciwpancernych, granatników i karabinów maszynowych. Serie pocisków erkaemu celowniczego mojego plutonu trafiają w ziemię tuż za rowem. Chwytam erkaem - przenoszę go o trzy metry do przodu i strzelam do motocykla. Motocykl wywraca się w prawo do rowu. Wyskakujący z niego Niemiec biegnie w pole i upada po kilku metrach. Celny ogień moździerzy i karabinów przeciwpancernych zniszczył 3 niemieckie czołgi, które stanęły w płomieniach. Batalion zatrzymał natarcie piechoty, zadając jej duże straty i zmusił ją do wycofania się.

Nasze stanowiska obrony dominowały nad doliną rzeki Bobrzy i leżącą na przeciwległym brzegu częścią Samsonowa, dawały dobry wgląd w pozycję wyjściową i teren natarcia nieprzyjaciela, umożliwiały prowadzenie celnego ognia moździerzom, granatnikom i karabinom maszynowym. Wysłany patrol

na przedpole przyniósł kordziki czołgistów, pistolety mauzera, czekoladę, papierosy a nawet menażkę z pęcakiem.

Pierwsze poniesione straty w zabitych i rannych nie załamały ducha obrony i nie zniweczyły morale obrońców. Z naszej kompanii zabity został odłankami w plecy podporucznik Charnason - dowódca I plutonu i ranny w nogę Antoni Iwaniak z Babina, któremu odłamek wyrwał mięsień poniżej kolana. Z trudem wycofującemu się w las Iwaniakowi, wśród gwizdu kul nieprzyjacielskich karabinów maszynowych, pomogli i zaopiekowali się nim ostatni już sanitariusze. Znałem go jeszcze sprzed wojny, zajmował stanowisko strzeleckie z lewej strony ode mnie i to widziałem.

Walka ucichła - ale nie na długo. Minęła może jedna godzina /trudno mi obecnie ten czas określić/ i spada na nas lawina pocisków armatnich i huczy. Jednocześnie strzelają karabiny maszynowe. Z Samsonowa znów wyjeżdżają czołgi, samochody pancerne a za nimi piechota. Z naszej strony, na całej długości odcinka obrony, otwarto silny ogień i w powietrzu unosi się niebieskawy obłok od wystrzelonych naboń. Słychać gwizd, szum, przeraźliwy jaskot pikujących i wznoszących się samolotów, wybuchy bomb i krzyki rannych. Trafiona sosna pociskiem armatnim błyska bielą na przestrzeni metra, i jej korona z trzaskiem spada na ziemię, albo cała wylatuje w powietrze. Poprawiam przed sobą obsunięty kamień, podniosłem rękę i... uczułem uderzenie i ból. Ręka przestrzelona. O Boże! A tu aż ciemno od wybuchów i serie pocisków karabinowych - to nad głową tiiu, tiiu, tiiu, tiiu - to ciężko uderzają w ziemię duu, duu, duu! Zawinąłem rękę bandażem i widzę po prawej stronie nielicznie wycofujących się żołnierzy. Był rozkaz wycofania się.

Takich i podobnych bitew w 1939r. było dużo. Oto wiersz Haliny Łuczyckiej pt.: "Wieś płonęła jak długa..."

Wieś płonęła jak długa - szeroko - wysoko
Rozsiadły się płomienie i lizały strzechy.
Białe okna ognistą pałały posoką,
Ludziom w strachu i trwodze zamarły oddechy.
Huk - szum - strzały - pocisków bezładna gonitwa
To pod Barchaczowem krwawa i straszliwa bitwa.

Żołnierz przypadł do ziemi - wymęczony, niemy.
Jeszcze z rzadka warczały nasze cekaemy.
Lecz tak bardzo przemożna była szarża wroga,
Że i na nią upadła cisza oraz trwoga.

Już do ucieczki rzucił się żołnierz niektóry,
Nagle młody oficer wypadł z dymów chmury,
Lewą rękę przycisnął do płonącej skroni
I dymiący rewolwer trzymał w prawej dłoni...

Stójcie - krzyczał - ach stójcie, hej, kto w Boga wierzy,
Nasze będzie zwycięstwo, wracać - bo zabiję.
Strzelać, wiara - wszak jeszcze nasza Polska żyje
Jeszcze ... Huknął strzał... Upadł... już nie żył ...

Lecz dłoń jeszcze sterczała i w górę wzniesiona
Jakby krzyża boleści złamane ramiona

Zdawała nakazywać jeszcze wciąż i prosić...
I tej, która nie zginęła nigdy ... Chwałę głosić ...

Wiersz napisany w 1944r. ku czci bohaterskiego dowódcy 8 kompanii 8PPLeg., który poległ w dniu 21 września 1939r. w bitwie pod Barchaczowem.

W lesie, najbliżsi żołnierze utworzyli grupę, zabraliśmy konia z biedką i szybko zasuwali drogą w kierunku północnym. Pochyła trawa i ślady podkutych butów wskazywały, że szło tędy dużo wojska. W pobliżu nas i w lesie ciągle wybuchały pociski, a przestraszony koń wskakiwał w zarośla. Kilkaset metrów przed nami odpoczywał na leżących sosnach batalion. Zameldowałem majorowi i Kaseji 27 żołnierzy plus 9, którzy poszli na ubezpieczenie lewego skrzydła i straconą biedkę. Raniony major odpowiedział: "Ja straciłem sześć

Batalion z całą 3 Dywizją Piechoty Legionów otrzymał rozkaz przejścia do rejonu lasów na północny zachód od Szydłowca i walczył pod Trębowcem Dużym, Iżą, przebijał się w zgrupowaniu w kierunku Wisły i zakończył szlak bojowy 23 września pod Tarnawatką.

W punkcie sanitarnym 3 Dywizji w Skarżysku Książęcym, w dwóch stodołach na łąkach, było pełno rannych żołnierzy. W drodze z Radomia do szpitala w Puławach - samolot nieprzyjacielski ostrzelał samochody z rannymi. W Puławach, z braku miejsc, ranni żołnierze leżeli na schodach przed budynkiem. W czasie popołudniowego nalotu bomby spadły obok szpitala. Jeszcze tej nocy kolumna sanitarna przewiozła wszystkich do szpitala w Lublinie przy Alei Kraśnickiej. Po opuszczeniu szpitala, wyjechałem z grupą żołnierzy do rejonu koncentracji przez Kraśnik - Janów do Cielma. O świcie 17 września, na drodze do Hrubieszowa, stał sowiecki czołg - a przed nim leżał w płaszczu zastrzelony polski oficer. Przy rozbieraniu nie oddał drugiego małego pistoletu. Po kilku dniach, przedzierając się nocą przez linię czołgów sowieckich pod Świdnikiem, znalazłem się w domu.

Zacząły się lata okupacji. Ciężki i smutny okres w życiu Polaków. W październiku Niemcy zarządzili meldowanie się wszystkich oficerów. Po zarejestrowaniu się, mogą w każdej chwili wywieźć mnie do Oświęcimia. 31 października mija termin. W południe przychodzi Juliusz Nagnajewicz "Rota" /mój brat cięty - poległ w partyzantce pod Bychawą/ i mówi: "Jak, Heniek, rejestrujesz /czy nie, bo masz jeszcze trzy godziny czasu." Odpowiedziałem: "Nie! Jeżeli się nie zarejestruję, to mam 50% szansy - albo mnie złapią albo nie." Od 31 października nie mogłem być w jednym miejscu.

Przydzielono mnie do Placówki w Bełżycach i jako instruktor ogólnego wyszkolenia wojskowego - ćwiczyłem żołnierzy w rejonie. W sierpniu 1943r. nastąpiło zjednoczenie i jako podporucznik "Heliodor" zostałem dowódcą plutonu A K, w skład którego weszła Placówka BCh z Babina 55 żołnierzy łącznie z żeńskim patrolem sanitarnym jako 1 drużyna, 20 żołnierzy z Radawczyka - 2 drużyna i 29 z Jaroszewic, Zosina i Podola

Najważniejszą akcją dla nas było przyjęcie samolotu - tzw. "Most nr 1" Nasz Pluton był plutonem gospodarczym, przygotowywał w Wojcieszynie lotni-

sko i wykonywał wiele innych prac. Chłopcy złożyli przysięgę, że na ten temat nie będą nic mówić, ale niektórzy w duchu nie wierzyli że samolot w ogóle przyleci. Cierpliwie czekaliśmy. Wreszcie w kwietniu 1944 roku upewniam się: "Czy jesteście gotowi?" Niestety ziemia, dokładnie mówiąc koniczyna 2-letnia, była jeszcze rozmiękła i nie mogła przyjąć dwusilnikowej "Dakoty". W ciągu tygodnia słońce świeciło i ziemia podeschła tak, że uznaliśmy, że lądowanie jest możliwe. Uznaliśmy, tzn. oficer startowy Wiktor Wojcieszek pseudonim Sum zgodził się na lądowanie. Gdy przyjechał z Warszawy to przyszedł do mnie, nocował i rano wychodziliśmy we dwóch pod las. Na miedzach był jeszcze śnieg. Mogło to budzić podejrzenia, bo to ani na grzyby... jaki cel miało chodzenie po polach? Wpychając patyczek w ziemię - badaliśmy twardość gruntu.

Oddział "Nerwy" kwaterował w Pawlinie z zadaniem ochrony lądowania samolotu i tam właśnie doszło do walki, w której poległo 33 żołnierzy. Niemcy uważali, że ten teren jest całkowicie spacyfikowany, a właśnie po ośmiu dniach w nocy z 15/16 kwietnia odbyło się lądowanie. Około godziny 22-giej leciał nad nami jakiś samolot. Radiotelegrafista Piotr Nowak pseudonim Oko dał szyfrowy świetlny sygnał. Niestety, był to inny samolot, który leciał ze zrzutem w kierunku Zamościa. Po godzinie znów było słychać warkot w powietrzu. Po nadaniu sygnału z ziemi, zobaczyliśmy snopy czerwonych iskier. Wydawało mi się wtedy, jakby to była litera "W". Krótki sygnał i dwa długie. A może hasło i odzew to były litery x - z? To wiedział wtedy tylko Piotruś "Okno" i radiotelegrafista w samolocie. Na rozkaz zdjęto z zapalonych latarni naftowych kaptury i zapalono trzy ogniska. Samolot zawrócił, obniżył lot, przeleciał nad lotniskiem z silnymi światłami, drugi raz zawrócił i dopiero koła zetknęły się z ziemią. Było to wydarzenie dla nas bardzo ważne, któreśmy mocno przeżyli, które pokrzepiło nas na duchu. Samolot zabrał pięciu ludzi z generałem "Tatarem" i po 20 minutach wystartował. Nad ranem otrzymaliśmy wiadomość, że wszystko jest w porządku, wrócili do Brindisi.

Następnego dnia przyjechali Niemcy i zabrali czterech ludzi, którzy nie chcieli opuścić terenu. Juliusz Nagnajewicz "Rota", zgodnie z rozkazem, zawiadamiał okolicznych mieszkańców aby nazajutrz opuścili swoje domy. Większość mieszkańców Matczyna, Wojcieszyna, Zosina uciekła - ci co zlekceważyli zarządzenie - zginęli.

Na okres "Burzy" tzn. od 7 lipca 1944r., plutony AK miały przydzielone do wykonania zadania. Planowanym zadaniem naszego Plutonu było opanowanie budynku w Lublinie przy ulicy Chopina, w którym kwaterowała niemiecka policja. Trudno byłoby go zdobyć, ponieważ okna zabezpieczono w nim siatką i workami z piaskiem, a my nie dysponowaliśmy ciężką bronią.

Niemcy wycofywali się przeważnie większymi grupami. Ludność była zaniepokojona, szerzyły się pogłoski, że Niemcy palą gospodarstwa, zabijają itp. Dlatego Pluton był już w pełnym pogotowiu i staraliśmy się ich pocie-

szyc przechodząc przez wieś z bronią i w mundurach. Następnego dnia tj. 25 lipca rano idziemy z Radawczyka do Babina na zbiórkę. W przodzie szedł ze mną, mój zastępca, starszy sierżant Stanisław Bartoszcze pseudonim Pień, a za nami w pewnej odległości szwagier Jan Wojtaszko i Stanisław Ostrowski "Bomba". Na zakręcie leśnej drogi spotykamy Niemców. "Pień" krzyknął do nich "Hände hoch" /ręce do góry/, a od nich od razu strzał. Pociągnęliśmy pistoletami /"stenami"/ i dwóch Niemców zachwiało się i upadło. Reszta zaczęła się wycofywać. Dla nas ten teren był znany; Nieduży las o nierównym przeciwnym brzegu, a za nim strumyk. Niemcy uciekli za las i skryli się w rzeczce. Bartoszcze, rzucając granat w pozycji leżącej, dostał pociskiem zapalającym w szczękę i poległ, a ja w rękę. Wybuch granatu zabił czy kontuzjował trzech Niemców. Odwieźli mnie do szpitala w Bełżycach i w ciągu godziny amputowali mi rękę. W tym czasie, na polach babińskich walczył pluton z grupą około 70 Niemców, z której poległo 17 przy własnych stratach 4 żołnierzy. Oto ich nazwiska: BEDNARCZYK WŁADYSŁAW syn Wincentego, PAWLAK LEON, PAWLAK WIE-SŁAW, SIENKO JÓZEF syn Kazimierza. Polegli na polu chwały!

W czasie pobytu w szpitalu, przyszedł do mnie jeden z NKWD-istów. Patrzył, patrzył na mnie, czy się już nadaję do zabrania czy jeszcze nie. Zobaczył, że ręka jest zabandażowana i zdecydował jeszcze poczekać. 20 sierpnia wróciłem do domu. Znow przyszedł z NKWD i oznajmił mi, że naczelnik chce ze mną rozmawiać pięć minut. /rozwagarił pięć minut/. Wiedziałem o co chodzi. Słyszałem o aresztowaniach, miałem wątpliwości co do tych pięciu minut. W Bełżycach - Ręce do góry i zabrali mi dokumenty! Prosiłem, aby mi pozwolili pójść do lekarza na opatrunek, nie zgodzili się. Zawieźli mnie do Poniatowej, wprowadzili na ogrodzony drutem, podmokły teren, gdzie były wykopane w ziemi dołki jak groby. Z jednego grobu podnosi się człowiek z brodą, bielusiętki, wychudzony. "Bojec" zaprowadził mnie nad dołek i krzyczy: "Włazi"! Odpowiadam że do dołka nie wejdę. "Włazi, job twoju mał, budu strelať!" Odsłaniając ręką piersi mówię "strelaj!" To się tak powtórzyło trzy razy. On ładował pepeszę i krzyczał: "Włazi, bo budu strelať". Powiedziałem, że chcę rozmawiać z komandirem. Myślał, myślał... wreszcie mówi: "Chadi". Po drodze zabrał mi pasek, sznurowadła i przetrząsnął kieszenie. Noc przespałem z NKWD-istami w stodole. Tego dnia przeszedłem pod karabinem z Poniatowej aż pod Wąwolnicę do Skowieszynka. Tam musiałem wleźć do kwadratowego dołka 2 na 2 metry, w którym było nas razem szesnastu. W środku, oprócz nas, znajdowało się trochę startej słomy i niesamowita ilość pcheł. Tam byłem do 11-go listopada. W międzyczasie przyprowadzili w nocy podporucznika z Puław i kazali wejść do tego dołka. Myślał pewnie, że to jest studnia, przepaść, zaczął uciekać i zastrzelili go. Wartownik mówił: "Jaki durny, gdyby nie uciekał, to by żył!"

11 listopada 1944r. zabrali nas sześciu do samochodu i pod ochroną siedmiu strażników zawieźli do Białej Podlaskiej. Siedzieliśmy na podłodze, po trzech z obu stron między nogami strażników, a siódmy siedział z tyłu.

Po noclegu pod gołym niebem, wypiliśmy w blaszkach lichą zupę, /nie było żek/ i załadowali po pięćdziesięciu do towarowych wagonów. Z hukiem zasunęli drzwi, skoble zakręcili drutem i krzyczeli: "Ch..om uwidisz Mikołajczyk! W zupełnych ciemnościach, pod warstwą śniegu, rozpoznaliśmy piecyk i porzucane deski. Miał węglowy był na razie dla nas nie zauważalny. Jechaliśmy na wschód, na wschód do stacji Bołogoję, leżące między Leningradem a Moskwą. Lokomotywa, opalana mokrym drewnem wyciętym w lesie w czasie podróży, ciągnęła pociąg z prędkością około 20 km/godzinę. W nocy była strzelanina. Strzelali konwojenci. Pierwsza ucieczka jeńców na terenach polskich. Pociąg zatrzymał się na 40 minut i doszła do nas wiadomość, że w ostatnim wagonie wyrwali deskę w podłodze i uciekło trzech Polaków. Konwojenci poszli w nocy do najbliższej wsi, zabrali z domów trzech chłopów, wepchnęli do wagonu i pociąg ruszył.

Kilkudniowa, podróż w zamkniętych wagonach, bez jedzenia i picia, była makabryczna. Mróz był wprawdzie niewielki, ale okucia i śruby wewnątrz wagonu pokrywały się szronem. Szron ten zeskrzybywaliśmy i lizali śruby aby ugasić pragnienie.

W Bołogojach wyszliśmy z pociągu przed zachodem słońca. Mróz był dość duży, a ziemię pokrywała gruba warstwa puszystego śniegu. Wyglądaliśmy jak diabły. Ubrania, twarze, ręce - wszystko czarne, tylko widać migotające błętkówki oczu. Ogarniał nas śmiech, bo nie mógł jeden drugiego poznać. Nie wykorzystano do ogrzewania wagonu pył węglowy był teraz zauważalny.

Szliśmy nasypem wzdłuż toru 4 kilometry do obozu w okolicy Browicz. Niemcy postawili tam dwa baraki w bagnach i nazywali ten obóz "Mohrlager". W drodze, straciło przytomność dwóch Polaków, zsunęli się z wysokiego nasypu i słychać było strzały - prawdopodobnie zginęli. Podano również wiadomość, że w tym obozie z głodu i fatalnych warunków, umarło dwa tysiące Niemców. Nasz transport liczył około dwóch tysięcy internowanych. W dwóch barakach czterdziestometrowej długości musieliśmy się pomieścić. Zupę przynosiła z kuchni dyżurny - wiadro drewniane na dziesięciu ipóźniej sprawiedliwie dzielił. Buraków nie obierano tylko całe z liśćmi i z ziemią /był taki rozkaz/ wrzucano do kotła. Gdy kucharz wziął chochlą po dnie, to połowę chochli było ziemi. Smutne były pierwsze Święta Bożego Narodzenia. Do oświetlenia używaliśmy kawałki smolnych drewniek, które należało trzymać w rękach albo jeden koniec wetknąć gdzieś w ścianę, żeby mieć wolne ręce. Prysze do spania były bez sienników - tylko gołe dechy. Poza brygadami przeznaczonymi do obsługi obozu - nie pracowaliśmy. Nie wolno było mieć żadnej gry, szachów czy warcabów. Kazali nam leżeć i wypoczywać. Przy tym wyżywieniu - to trudno było nawet leżeć.

W międzyczasie, idąc raz z jednego baraku do drugiego, na ścieżce spotyka mnie pułkownik NKWD. Zasalutowałem, ponieważ obowiązywało oddawanie honorów. Pułkownik zatrzymał się i mówi: "Gdzieś ty stracił rękę? /Kuda ty ruku potierał?/" Odpowiedziałem, że w walce z germańcami. "O, toś ty gieroł.

co ty tu robisz?" Odpowiedziałem, że nie wiem dlaczego mnie zabrali do Związku Radzieckiego, ale zabrali i jestem. Pułkownik udzielił krótkiej informacji, że niedługo pojedziemy do lepszego obozu gdzie będzie mleko. W obozie "Mohrlager" w Szepietowie umierało codziennie po kilku ludzi. Zmarłych wywożono dwukółką za bramę i zakopywano w bagnie. Z obozu często było widać wystającą rękę lub głowę.

Od dłuższego czasu mówiono nam o wyjeździe do domu. Było późne lato 1945r. Na stacji kolejowej Bołogoje zobaczyliśmy wagony z nowymi kratami, z nowymi zamkami, czarnymi od ognia. Powiedziałem wówczas kolegom, że tym pociągami my do domu nie pojedziemy! Tak się stało. Zakładowali nas i bodajż jedenaście dni jechaliśmy na wschód... na wschód... W czasie podróży dostaliśmy do jedzenia po jednym śledziu, a następne dwa dni nie było wody i pragnienie mieliśmy niesamowite. Zamiast wody otrzymaliśmy niezły tytoń.

Z obozu Leśnego za Uralem, w pobliżu Świerdłowska, w promieniach zachodzącego słońca, widać było na zachodzie sylwetę gór. Powiedziano nam, że kiedy zbudujemy tutaj Lwów, to pojedziemy do domu. /Tu nam postroicie Lwów i pojedziecie damoj/. Zorganizowano brygady robocze do pracy w lesie, /lesorubka/ brygady budowlane, szewskie, krawieckie, kopyciarskie. Zpółśród 782 ludzi można było niewątpliwie wybrać kwalifikowanych rzemieślników, budowniczych i innych posiadających wykształcenie czy praktykę w różnych zawodach. Do nich dołączali ci wszyscy, którzy chcieli wyjść poza obóz i poprawić swoje warunki życia. Niektórych z moich współtowarzyszy niedoli jakoś bardziej zapamiętałem - oto ich nazwiska:

1. Borucki - z Lublina. Nie przystąpił do strajku głodowego
2. Dzieciołowski - dr med. z Warszawy.
3. Frydrychowicz - dr med. z Warszawy.
4. Dzeduszycki - hrabia, bratanek Sapiehy z Krakowa.
5. Gaca Aleksander - "Jastrząb", partyzant BCh z Motycza.
6. Grzybowski - inżynier, opowiadał wesołe dykteryjki.
7. Hornowski Sergiusz - dr med. spod Warszawy.
8. Hartwig Edward - najlepszy fotograf z Lublina.
9. Hermanowicz - profesor, dobry szachista.
10. Jędrych Józef - nauczyciel z Lublina, mój szkolny kolega
11. Jędruszczak Mieczysław - komendant AK w Parczewie, pochodził z W-wy, wyrabiał z blachy polskie orzełki, rozdawał je i pokrzepiał kolegów.
12. Iwański - kapitan.
13. Kaniewski - z Burca, był komendantem obozu w "Jogle".
14. Karski - właściciel majątku na lubelszczyźnie.-
15. Krawczyński - organista spod Lublina, uczył chętnych śpiewu, był zawsze optymistą, choć utykał na jedną nogę.
16. Królikowski - przez pewien okres był komendantem obozu.

17. Ksiądz Kornilak - proboszcz z Kąkowlnicy.
18. Lubomirski Heraklusz - ksiązę, był w obozie po raz drugi. Powrót z pierwszego pobytu umożliwiła mu krewna z Ameryki. Wytoczono mu proces o sabotaż, którego powodem był kamień w sieczkarni.
19. Łebski - porucznik, zajął pierwsze miejsce w rozgrywkach szachowych. Przegrałem z nim w finale.
20. Mytych - nauczyciel z Kolbuszowej, działacz ludowy, w obozie również był aktywny.
21. Przyłuski Kazimierz - z Rembertowa.
22. Przewłocki - kiedyś posiadał dobra pod Smoleńskiem; długo chodził w brązowym skórzanym płaszczu, który mu zabrano podczas rewizji.
23. Popławski Jan - nauczyciel z Parczewa.
24. Rasoła Bolesław - z Siedlec. Odbity z więzienia przez NSZ w 1943r., jeden z pierwszych komendantów obozu.
25. Rogoziński - z poznańskiego, starszy, był w grupie inwali
26. Rumiński Stanisław - z Bełżyc. Sanitariusz obozowy.
27. Rumiński - z Bełżyc -brat Stanisława.
28. Rutkowski - z Lublina. Właściciel cukierni przy Krak-Prz.
29. Siemiątkowski - lekarz z Kolbuszowej.
30. Skarżyński Józef - nauczyciel z Krzczonowa koło Lublina. Przed wyjazdem redagował gazetkę ścienną.
31. Szczepański Władysław - inżynier ze Lwowa.
32. Skowroński Władysław - z 27. Dywizji AK. Był pod koniec komendantem obozu.
33. Sznajder Bronisław - z Jabłonia k. Parczewa. Opiekował się łaźnią /"banią"/. Umożliwił mi dodatkową kąpiel. Później malował mieszkania u NKWD.
34. Woś Wacław - z Karczmisk k. Lublina. Był również komendantem. Wrzucił "bojca" do wody w fontannie. Założyli się
35. Świder Aleksander /?/ - z Rzeszowa. Uciekał z obozu. W szachy grał zwykle czarnymi obroną królewsko-indyjską z gońcem na "g7".
36. Wójcik Józef - spod Poniatowej, z rodziny młynarskiej.
37. Wójcik /?/ - brat Józefa. Byli to najmłodsi chłopcy w obozie.
38. Załuski - z Iwonicza. Hrabia. Takich zacnych ludzi mało się spotyka. To prawdziwy dżentelmen - ideał!

Obóz "Szachtowy", "Mohrlager"/bagienny - w pobliżu stacji Bołogoje/, Jegolsk Katyń i Ostaszków należały do centrali zarządu obozowego nr 270 w Borowiczach. Wszyscy Polacy wywiezieni do tych obozów traktowani byli jak faszycy.

ści. We wszystkich tych obozach panował niesamowity głód; jedzono trawę, pokrzywy, różne zioła, liście, a także obierki z kartofli, które stanowiły swego rodzaju przysmak. Obierki te smażyono w puszkach po amerykańskich konserwach, które Rosjanie wyrzucali na śmietnik. Ości i łby śledziowe preparowano podobnie jak obierki. Niejednokrotnie wykradano psom ochrony obozowej niedojedzone resztki pokarmu. Polacy-zesłańcy najczęściej umierali z głodu. Zdrowych i silnych ludzi wywożono do obozów na Ural, słabi zostawali na wymarcie. Najcięższym obozem był jednak "Szachtowy", w którym zesłańcy budowali kopalnię.

Jesteśmy w lasach Syberii, w obozie Leśnym nr 531 za Uralem, niedaleko Świerdłowska. Są wśród nas jednostki niepospolite - np. hrabia Załuski, którego wymieniłem jako ostatniego na liście zapamiętanych. Jednooki wysoki pan, który oko stracił na wyścigach samochodowych w Cambridge, a Iwoni był jego własnością. Otóż, dyżurny w grupie inwalidów hrabia Załuski dzielił między nami, wydany, zaległy za trzy dni cukier. Nabierał na łyżeczkę i trzymając poziomo, drugą ręką przypomocy linijki, zgarnywał cukier wystający ponad brzeg łyżeczki. Tak robili wszyscy. Gdy odmierzał cukier dla siebie, to zgarnął linijką nie jeden raz, lecz trzy razy! Ktoś z czytających to obecnie - powie "głupota". Nie, to nie była głupota! To była wielka sprawa!

W czasie nocnego przeglądu zauważono że Karski śpi w butach. NKWD-ista stuka w buty i mówi: "Przyjacielu...!" A Karski spokojnie i głośno odpowiada: "Ja tu żadnych przyjaciół nie mam!"

Książę Lubomirski obsługiwał w kołchozie sieczkarnię. Nieostroźnie wpadł mu ze słomą kamień i pękła kosa. Oskarżono go o sabotaż. Radził się kolegów, a oni mu odpowiedzieli, że jak się przyzna, to dostanie 5 lat, jak się nie przyzna - to 5 lat dostanie. Odbyła się rozprawa, on się nie przyznał i otrzymał wyrok 5 lat obozu! Myśmy wrócili, a on jeszcze pozostał.

W obozie był prosty kmiotek z białostockiego, którego zabrano w nocy wraz z dwoma innymi, po pierwszej ucieczce Polaków z ostatniego wagonu. Konwojenci chcieli mieć tę samą liczbę transportowanych. Po obozie chodził obwiązany powrósem i nikt jemu powrósa nie zabierał. W domu napewno znał drogę z mieszkania do obory, ale o AK nic nie wiedział, względnie bardzo mało i nazywaliśmy go generałem. Biedaczysko! Półtora roku musiał cierpieć za kogo innego.

Warunki w obozie Leśnym były nieco lepsze, ale zależało to głównie od komendanta i bezpośredniego nadzoru. Ostatni komendant Maskow przejawiał cechy ludzkie, był inny, różnił się od poprzednich i od tych co bezpośrednio nas pilnowali.

Ścinanie sosen w lesie odbywało się w kwadracie wyznaczonym czterema czerwonymi chorągiewkami. Podczas spadania sosny często wybiegano poza linię chorągiewek i wartownicy na ogół to tolerowali. Jednego dnia, /mo-

że był nowy wartownik?/ ścinający wybiegł za chorągiewką - pilnujący żołnierz złożył się i strzelił mu w piersi. Ten upadł - brocząc krwią - i krztał: "Mamo... mamoo...!" Na drugi dzień przeniesiono wartownika do innego obozu. Był to młody chłopiec - obozowy fryzjer.

Obchodziliśmy święto 22 Lipca. Przyjechała orkiestra, jakieś zawody, rozgrywki szachowe, podobno miała być i wódka. Po występach były oklaski. Podszedł do mnie NKWD-ista i mówi: "No, a ty czemu nie klaszczesz?" Zobaczył że nie mam ręki, to kazał mi pilnować - kto nie klaszcze. I już miałem funkcję w obozie.

Za poprzednich komendantów - przed Maskowem - okradano nas do tego stopnia, że w "grochówce" w całym kotle było dosłownie kilka ziarn grochu. Groziła nam śmierć głodowa - więc podjęliśmy jednodobowy strajk, w ciągu dwóch dni - zaczynając od obiadu. Chodziło oto aby zawiadomili Świerdłowskie że jeńcy odmówili pobierania posiłków. Kilku, dosłownie kilku, niecały 1% nie przystąpiło do strajku w tym ludzie chorzy. Kto był wtedy zdrowy?? Przekonałem się, jak trudno było przeżyć jedną dobę bez 20 dkg chleba. Ta kromka chleba utrzymywała nas właśnie przy życiu. Przyjechały władze NKWD ze Świerdłowska, przemawiali, wyjaśniali itd. Po ich odjeździe zabrano nam sienniki, zabroniono odpoczywania w dzień na pryczach i zabroniono na jakiś czas śpiewania na apelach "Modlitwy Żołnierzy Armii Krajowej" i "Wszystkie nasze dzienne sprawy", oraz "Kiedy ranne wstają zorze".

Oto słowa tej modlitwy:

O Boże, któryś jest na niebie,
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń,
Wołamy z wszystkich stron do Ciebie
O polski dom, opolską broń.

O Boże, skrusz ten miecz co siecze kraj,
Do wolnej Polski nam powrócić daj,
By stał się twierdzą naszej siły
Nasz dom, nasz kraj.

O Boże, któryś jest na niebie,
Wysłuchaj nasz tułacz śpiew,
Z nad Wisły, Warty, Bugu, Niemna
Męczeńska do Cię płynie krew

O Boże, skrusz ten miecz co siecze kraj,
Do wolnej Polski nam powrócić daj,
By stał się twierdzą naszej siły
Nasz dom, nasz kraj.

Pomimo szykan i obostrzonych rygorów, wyżywienie się nieco poprawiło.

Polaków i Niemców było w tym obozie mniej więcej po połowie, niewielu natomiast Węgrów i Japończyków. Z tych więc względów, co 2 - 3 miesiące, zmieniał się komendant i wewnętrzne władze funkcyjne. Gdy obozem zarządzali Niemcy, to zupę z kuchni wydawano najpierw rzadszą dla Polaków, a gęściejszą dla Niemców. To się wyrównywało, bo po dwóch miesiącach Polacy robili to samo, tzn. wydawali posiłki w odwrotnej kolejności.

Japończycy zapędzeni do piłowania drewna, na metrowe kłody, przecią-

gali piłę w jedną i drugą stronę co kilkanaście sekund i po przeciągnięciu - siadali. Na krzyki wartownika "bystro ,bystro" - odpowiadali a raczej powtarzali "bystro,bystro" - "pracując" w dalszym ciągu tak samo.

Przyprowadzono do obozu kilku wyższych stopniem niemieckich oficerów, w mundurach, odznaczonych Żelaznymi Krzyżami i w rękawiczkach. Jeszcze tego dnia kopali motykami ziemniaki w pełnym umundurowaniu i w rękawiczkach. Nazajutrz też kopali ziemniaki - ale już w łachmanach.

" Obywatele radzieccy/może kołchoźnicy/ chodzili wiosną po polach i szukali ziemniaków w grządkach tzw. "mijkach", których nie wykopano na jesieni. Często takie "mijaki" rozmyślnie zostawiano, aby mieć na wiosnę bodajby przemarznięte ziemniaki. W lasach, na polach i miedzach można znaleźć kilof, łopatę lub motykę.

W zimie, w oddali widziałem pofalowane pole. Jak się później okazało był to owies w kupkach, przykryty grubą warstwą śniegu, którego nie sprzątnięto w odpowiednim czasie.

W czasie robót polnych orano ziemię od obozu - aż za górę. Gdy ciągnik skrył się za górą , słychać było co pewien czas silny dźwięk jak dzwo- nu, spowodowany uderzeniem młota w koło. Ci co wychodzili na roboty, rozmawiali z tym traktorzystą i powiedział im że musi zostawiać trochę orki na godziny ponadliczbowe, to wtedy dopiero wyjdzie na swoje. Dlatego robił sobie przerwy.

Obok obozu mieszkali obywatele radzieccy. Na brzegu lasu stał Niemiec i pilnował, aby ktoś z mieszkańców nie zbierał w lesie chrustu. Przepędził rodowitą Rosjankę, która dwóch synów miała na wojnie, a jednego nawet straciła. Płakała. W lasach drewna było bez liku. Olbrzymie sosny leżały niesprzątnięte jedna na drugiej. Cywilom, w swoim kraju, nie wolno było wejść do lasu.

Proponowali nam napisanie listów do rodziny. Dużo z nas nie wierzy- ło że listy wyślą. Niektórzy pisali. Jak się później okazało, listy te znalazły się w śmietniku wyrzucone przez służbę obozową. Jeden tylko list hrabiego Dzieduszyckiego, bratanka Sapiehy, który był prywatnie wrzucony do skrzynki w Świerdłowsku, otrzymała jego małżonka w Krakowie.

Wśród internowanych mieliśmy trzech doktorów medycyny, jednego lekarza i jedną przydzieloną lekarzkę Rosjankę. Wiadomości z medycyny musiała mieć niewiele skoro nie umiała odpowiedzieć czy dwunastnica jest na żo- łądku, czy pod żołądkiem.

Jedynym lekiem jakim dysponowali nasi lekarze był nadmanganian po- tasowy. Czasami trafiła się aspiryna. Leczone nim choroby żołądka ~~szędku~~, wszelkie rany, ból gardła, w ogóle wszystko. Szpital w Świerdłowsku był dla nas zamknięty - nikogo nie przyjmowano. W jednym baraku mieliśmy tzw. "dystrofię" i tam albo chorego wyleczono, albo, co się zdarzało częściej, umarł. Chory dostawał tam dwie porcje cukru i czasami kaszę manną.

Szansę przeżycia mieli ludzie w sile wieku - starzy i młodzi umierali. Badania lekarskie miały na celu wybranie mężczyzn do pracy. Odbываły się ten sposób, że rozbieraliśmy się do naga i rzędem przechodzili obok le-karki - starej Żydówki. Ona patrzyła tylko na tyłek. Jeśli miała wątpliwość: ści, to badanego palcami skubnęła z tyłu, aby przekonać się, czy ma dużo ciała, czy tylko skórę. Orzeczenie brzmiało: "Ten do pracy, ten na dystro-fiu". Po przejściu, brygady robocze były powiększone.

Bardzo często zarządzali zbiórki przed barakami i w tym czasie jedna grupa żołnierzy przetrząsała baraki i prycze, a druga sprawdzała co mamy ze sobą. W czasie takich rewizyj zabierali wszystkie własne przedmioty, własne kożuchy, buty i płaszcze. Czasami żołnierze usiłowali kupić od nas prywatną odzież - za machorkę. Kto nie sprzedał - to przy takiej rewizji zabrano za darmo. Po pewnym czasie nikt nie dysponował kawałkiem własnej odzieży, nie miał nic własnego, tylko stare, niemieckie poszargane płaszcze.

Inwalidzi tworzyli oddzielną grupę. Nie wychodzili do pracy poza obóz, nie przydzielano im ciepłej odzieży i otrzymywali o 10 dkg chleba mniej - czyli 20 dkg na dobę. Niektórych zatrudniano w kopyciarni /zdrowe ręce/ przy produkcji kopyt do butów, z drewna osikowego lub brzo-zowego, na terenie obozu, ale chleba tę samą porcję. Jeden jedyny raz, zaangażowano nas, na kilka dni, w lecie do pielienia buraków. To była dobra praca na słońcu i powietrzu.

W obozie Leśnym kwaterował w grupie inwalidów ksiądz Kornilak - pro-boszcz z Kąkowlnicy. Zaczny staruszek spał wtedy obok mnie na dolnej pry-czy, a ja tuż pod oknem. Rano nie mogłem podnieść głowy, bo włosy przyma-rzły do lodu, który w nocy namarzł grubą warstwą. Ksiądz Kornilak, w osta-tnich miesiącach przed naszym wyjazdem, odprawiał msze przy prymitywnym ołtarzu lecz wykonanym z pewnym artyzmem. Do tych spraw komendant Maskow odnosił się tolerancyjnie.

Co pewien czas organizowano z obozów ucieczki. Umawiali się, najczę-ściej we trzech, zaufani koledzy i w wielkiej tajemnicy sporządzano wędki, haczyki - przygotowywano potrzebny ekwipunek. Z obozu Błotnego, na wyżynie Wołdajskiej między Leningradem a Moskwą, uciekło w wigilię Bożego Narodze-nia trzech jeńców i im, jeden jedyny raz, się udało. Nie złapano ich i za-dnego nie przywieziono do obozu.

Innym razem, też z tamtego obozu, uciekło trzech, to po miesiącu po jednym wszystkich przywieźli. Przed ciężko zranionym, umierającym na no-szach, maszerowaliśmy w czwórkach po śniegu i śpiewali "Marsz, marsz Polo-nia!" A... On... umierał...

Czwartą - ostatnią grupę uciekających zorganizował inwalida Świder z Rzeszowa. Niestety, nie powiodła się. Przechodząc przez ogrodzenie, w no-cy przed świtem, nieostrożnie jeden z nich zaczepił manierką o drut. Strażnicy zaczęli strzelać, zranili jednego i wszystkich chwycili.

Raniony wyleczył się - ale do Kraju nie wrócił - zmarł później w obozie.

Ucieczki z obozów sowieckich nie udawały się, ponieważ tamte tereny są zupełnie inne niż w Polsce. Przede wszystkim nie ma zadrzewionych wiosek, kolonii i odosobnionych gospodarstw. Lasy rosną przeważnie w dużych kompleksach, a pojedynczo rosnących drzew na polach wcale nie widziałem. Kołchozy oddalone od siebie kilka albo kilkanaście kilometrów dzieli dla oka całkowita pustka. Nie ma stodół, stert czy stogów, na których mógłby się wzrok zatrzymać. Domy mieszkalne kołchoźników tworzą zwartą zabudowę, ogrodzoną brzoźowym płotem z bramą ozdobioną czerwonymi chorągiewkami, a na środku placu dzwon alarmowy i stale pilnujący z karabinem lub dubeltówką wartownik. Wszystkie zebrane plony są w magazynach.

Lwowa na Syberii nie zbudowaliśmy - ale kilkanaście drewnianych domów mieszkalnych - asfaltowe alejki i fontanna, po zaludnieniu mogły tworzyć osiedle. Prosimi nas aby tam pozostać, zapewniali swobodę, dobrze opłacaną pracę i możliwość łączenia rodzin. Nikt dobrowolnie nie zgodził się pozostać.

Zbliżał się koniec trzyletniego pobytu na zesłaniu. Coraz więcej mówiono o powrocie do Kraju i coraz bardziej czas nam się wydłużał. Mimo zapewnień władz obozowych, że wkrótce jedziemy do domu, to jednak były powody wzbudzające wątpliwości. W Borowiczach też nam tak mówiono i przyjechaliśmy na Syberię.

Długie wygnanie, męka niewoli, straszne sybirskie pustynie i głucha cisza - jaka nas otaczała - wzbudziła tęsknotę i niezwykłą miłość do dalekiego Ojczystego Kraju.

Latami wracali z lasów Syberii, Karagandy i Uralu, znad Peczory i Workuty na dalekiej północy, z Riazania, Borowicz, Jegolska i Wołogdy na wyżynie Wołdajskiej - wszyscy którzy żyli i zwlec się mogli do Kraju, do Polski ukochanej, o której marzyli w snach posępnych w długich nocach wygnania. Wracali gotowi wszyscy do dalszej nieustannej pracy dla Ojczyzny.

W drodze do Kraju pociąg zatrzymał się na torze pod Smoleńskiem. Może to było Gniezdowo? Wagony były otwarte. Tu zobaczyliśmy wielką zbiorową mogiłę żołnierzy niemieckich /50 na 50/ metrów i zapadniętą półtora metra, w której widać wystające z ziemi płaszcze i części umundurowania. Pod Smoleńskiem toczyły się ciężkie walki i Smoleńsk przechodził kilkakrotnie z rąk do rąk. Wkrótce pociąg ruszył i znów zatrzymał się przed drogowskazem z lewej strony pociągu wskazującym drogę "do Katynia". Nie pozwolono nam wychodzić z wagonów - a pociąg stał ponad dwie godziny. Wiedzieliśmy już o Katyniu. Do dziś nie wiem co to miało znaczyć?!. Wśród nas budził się coraz większy niepokój - zaczynały drgać nam łydki.

Wielkie chwile w życiu człowieka niczym nie różnią się od innych chwil. Wyrok losu mieści się w jednym lub dwóch słowach. Decyduje jedno spojrzenie czyichś oczu, zwykły uścisk dłoni, jeden ruch warg, choćby nie

rzekły ani słowa.

Przyjechaliśmy do Brześcia. Po trwających kilka dni sprawdzianach, przejechaliśmy ze śpiewem granicę Polski. Wydano zaświadczenia repatriacyjne stwierdzające przyjazd do Polski z ZSRR, ale ani słowa że wracamy. Rodacy powitali nas z wielką radością zapraszając na szklanekę mleka z makiem.

O, Ziemo Ojców ty Kraju drogi
W tej jasnej chwili wiecznie nam trwaj
Kochamy twoje pola rozłogi
Bo ty ojczysty - nasz Polski Kraj.

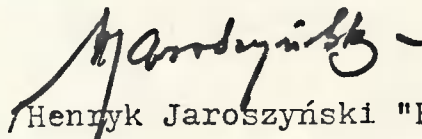
Kochamy ciebie twoje potoki
Wichrów jesiennych ponury jęk
Inocy letnich twoje uroki
I twoich lasów te dziwne mroki.

Tu jest nam dobrze - tutaj wytrwamy
Tutaj wytrwamy - do kresu dni!

O, Ziemo Ojców!

/Pieśń tę śpiewaliśmy w chórze Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego im. Juliusza Słowackiego w Lublinie w roku 1931, pod batutą mojego długoletniego Wychowawcy Mikołaja Bobyka, zajmując na eliminacjach okręgu pierwsze miejsce./

Wiemy i widzimy, jak się szczęści ludziom złym i niegodziwym, podczas gdy dobrzy odchodzą z tego świata, giną przedwcześnie młodzi ludzie. W życiu każdego człowieka ^{widzimy} nie osiągnięte szczęście, częste upadki, daremne wysiłki, walkę dobrego ze złym, zapasy, w których nierzadko padnie silny, pośliźnie się zręczny. Widzimy kwiaty dobra rozkwitające na bagnach, widzimy na wyżynach wspaniałego losu skazy wad, plamy zła i podłości ludzkiej. Wiemy, jak słabą istotą jest nawet najlepszy z nas - nie uważajmy się więc w żadnym wypadku za bohaterów, i nie odrzucajmy braterskiej ręki wyciągniętej do zgody nawet tych, którzy mają wiele wad i popełnili wiele błędów!


Henryk Jaroszyński "Heliodor"/

Lublin, 17 września 1989r.